

# Bartoszewicz, Julian

---

## Z notatnika pamiętniczego Juliana Bartoszewicza 1842-1848 : (fragmenty opatrzone wstępem i przypiskiem Kazimierza Bartoszewicza)

---

Przegląd Historyczny 14/1, 125-139

---

1912

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

## Z notatnika pamiętniczego Juljana Bartoszewicza

1842 — 1848.

**Fragmety opatrzone wstępem i przypiskiem Kazimierza Bartoszewicza.**

Po zniesieniu uniwersytetu warszawskiego w r. 1831 okazał się wkrótce brak nauczycieli w gimnazyach Królestwa Polskiego. Dla zaradzenia temu brakowi rząd wysyłał na własny koszt najpilniejszych uczniów do uniwersytetów rosyjskich. W liczbie ich znalazł się w r. 1838 Juljan Bartoszewicz, ukończony uczeń gimnazjum „leszniańskiego“ (na Lesznie) w Warszawie.

Po czteroletnim pobycie w Petersburgu, w czasie którego raz tylko odwiedził strony rodzinne, powrócił Bartoszewicz d. 25 lipca 1842 r. do Warszawy. W dwa dni później przedstawił się kuratorowi okręgu naukowego, generałowi Okuniewowi i zaraz d. 1 sierpnia otrzymał nominację na nauczyciela nadetatowego w gimnazyum warszawskim, mieszczącym się w pałacu Kazimierowskim.

Młodziutki nauczyciel (miał lat 21) wstępując w progi samodzielnego życia, postanowił spisywać swoje pamiętniki, a raczej kontynuować dawniej rozpoczęte i przerwane. Już bowiem po przyjeździe do Petersburga prowadził „Dziennik mojego życia“, zaczęty 5 września 1838 roku, ale z „Dziennika“ tego przechował się tylko jeden arkusz,— a są wskazówki, że arkuszy tych wiele nie było, nadzwyczaj bowiem obszerne i wyczerpujące listy, pisane do rodziców, przybrały z czasem kształty „Dziennika“ i prawdopodobnie całkiem go zastąpiły. Część tych listów, dającą interesujący obraz stosunków w ówczesnym uniwersytecie petersburskim i życia polskiej młodzieży nad Newą, drukował lwowski „Przewodnik naukowy i literacki“.

Pamiętniki, rozpoczęte w r. 1842, nie były bynajmniej pisane w myśli, że zostaną kiedy ogłoszone drukiem. Nadzwyczajna skromność, cechująca ich autora, nie pozwalała mu przypuszczać, że jego notaty mogłyby kogo interesować. Sam sposób prowadzenia „Dziennika“ wskazuje, że nie miał do tego pretensyi. Zapisywał w nim najdrobniejsze, dla innych całkiem obojętne szczegóły. Notował swoje zajęcia szkolne, stosunki towarzyskie, wizyty, spacery, co czytał, do kogo pisał, w jakim był kościele, z kim grał w szachy lub partyę „whista“, który „anio-

łek“ mi się podobał... A wszystko to było pisane po kronikarsku, bez silenia się na ozdoby stylowe.

Dopiero w kilka miesięcy później pragnął zreformować swój pamiętnik, pogłębić go niejako, ale również z myślą, że pisze tylko dla siebie, wyłącznie dla siebie. „Zamiarem moim pierwiastkowym, było zaczynając mój „Dziennik“ — pisać pod dniem 21 listopada 1842 r.— umieszczać w nim szczegóły życia mojego, mnie się tylko samego tyżące, tak, abym za lat kilka lub kilkanaście, czytając te kartki, wspominał sobie z rozkoszą pierwsze chwile mojej młodości i pierwszego w świat wystąpienia. Miałem więc tutaj umieszczać, czem się trudniłem codziennie, com widział, com słyszał od kogo o czemś interesującym. Myśl i serce nie wchodziły wcale w widoki moje, kiedym zaczął pisać te notatki. Z czasem przekonałem się przecieź, że „Dziennik“ mój byłby zbyt jednostronnym i nie odpowiadałby chęciom moim, jakie miałem w istocie, kiedym codzienne wrażenia na pamiętkę przedsięwziął sobie spisywać. Nadto, zamiłowany zawsze ślepo w historię polskiej, lubiący nadewszystko poezję i jej urocze marzenia, za powrotem do Warszawy słyshałem nieraz coś pięknego, interesującego, coby się z czasem przydało dla prac moich. Wszystko to przeminęłoby i zostało może bez wrażenia, bez śladu. — A z takich to podań rozmaitych, podań z ust żywych wyjętych, złożyłyby się potem powieści zajmujące, historyczne obrazy ojczyzny mojej! Postanowiłem tedy notować to wszystko w pamiętnikach moich. Nadto uczucia, które powstają w duszy po zobaczeniu czegoś pięknego, po przeczytaniu ważnego dzieła, takżeby marnie zniknęły, gdybym je puszczał niechcący, mimowolnie. Dusza moja by ostygła. Żyłbym, jak zwykle żyją ludzie bez zapалу, bez czucia, aby żyć tylko i umrzeć potem. A ja tak żyć nie chcę; wołałbym ciągle cierpieć, niż nie czuć zupełnie. Życie bez czucia—to gorzej niż śmierć. Dlatego też w tym „Dzienniku“ moim miejsce znajdują: 1-o wszelkie wydarzenia dzienne i wypadki życia mojego z dnia na dzień zapisywane, 2-o moje uczucia, myśli, uwagi, wszystko co czytałem, co słyshałem interesującego, t. j. mieścić się będą uwagi moje o czytanych dziełach, obrazy czasu i ludzi, charaktery, spostrzeżenia, ciekawe zabytki naszej przeszłości historycznej. Pamiętnik mój odtąd stanie się ważniejszym, bo będzie źródłem przyszłych pomysłów moich i prac na polu literatury ojczystej, będzie składem myśli moich i marzeń, które sobie z rozkoszą w późniejszym czytając czasie, odnawiać będę. Myśl moją o zreformowaniu „Dziennika“ chciałem w wykonanie od Nowego Roku wprowadzić, — ale kiedy się zewsząd nagromadzają materiały, od dziś reformę tę w życie wprowadzam. Nie zajmie mi to czasu potrzebnego do czytania i dopełnienia obowiązków, bo w wolnej chwili notować sobie będę spostrzeżenia moje, a na kronikę dzienną zawsze czasu kilka minut wystarczy. Będzie więc pamiętnik mój porządniej prowadzony, a nie tak, jak dotąd, kiedy nieraz jednego dnia, aż z siedmiu przeszłych notowałem zdarzenia. Tak więc dużo ujęć mogło uwagi mojej i to nie wciągnięto. Teraz będzie inaczej!..“

Ale to „będzie inaczej“ sprawdziło się zaledwie w małej części. Autor nie obliczył, że na pisanie w tym rozmiarze notat, nie wystarczy codziennie „kilka minut“, ale potrzeba będzie nieraz godzin całych. A zajęcia nauczycielskie, stosunki rodzinne i towarzyskie, a najwięcej

mrówcza, bezprzykładna, usprawiedliwiony podziw wzbudzająca praca nad zbieraniem materyałów do dziejów narodowej przeszłości,—nie zostawiały autorowi tyle czasu, aby mógł spisywać w pamiętniku to wszystko, co zapisywać przedsięwziął. Zamiar więc spełził prawie na niczem. „Dziennik“ w całości wzięty, pozostał, zwłaszcza w swej pierwszej części, suchą kroniką, miłą pamiątką dla rodziny niestrudzonego badacza, materyałem wreszcie dla jego biografii. Ożywia się dopiero w latach 1846—1848 zamieniając się na „dzieje serca“. A te dzieje dają dwa główne wręcz odmiennie obrazy: miłości burzliwej, nieszczęśliwej, kończącej się rozczarowaniem, i miłości cichej, serdecznej, kończącej się małżeństwem. Pierwsza jest wyborną kanwą do psychologicznej powieści, — druga nosi na sobie urok sielanki. To też *Biesiada literacka*, drukując przed laty wyjęte z pamiętnika, dzieje tej drugiej, sielankowej miłości, dała tytuł: „Powieść o sercu zacnego człowieka“.

Pomimo jednak czysto osobistego i przeważnie kronikarskiego charakteru, w pamiętniku J. Bartoszewicza znajdują się często szczegóły nie pozbawione ogólniejszego interesu, dorzucające ciekawe drobiazgi do dziejów życia społecznego, literackiego i artystycznego Warszawy. Spotykamy w nim również niejednokrotnie wzmianki o ludziach wybitnych, o faktach nieobojętnych dla charakterystyki czasów i wreszcie szczegóły, tyżące się początków literackiej i naukowej działalności autora pamiętnika. Sądzimy, że te ustępy zasługują na wydobyćcie z „pyłu zapomnienia“ i ogłoszenie drukiem.

Ponieważ z pamiętnika przytaczać będę tylko oderwane fragmenty, należy przeto poprzedzić je choćby krótkim obrazem środowiska, w jakim się autor obracał:

Adam Bartoszewicz, ojciec autora, był w tym czasie przełożonym (inspektorem) szkoły powiatowej przy ulicy Freta. Ojciec był pedagogiem, syn na tę drogę wstępował, a więc, rzecz prosta, najściślejse stosunki łączyły ich ze stanem nauczycielskim. W szkole na „Freta“ byli nauczycielami: X. Ignacy Kamiński, Jan Marchand, Jan Papłoński, Tymoteusz Lipiński, Józef Krysiński, Wincenty Roman, Piotr Skrzypiński, Ernest Hejntz, Józef Czaczkowski, Adam Ostrowski. Ze wszystkimi naturalnie przełożony ich utrzymywał stosunki, do bliższego jednak grona przyjaciół należał tylko X. Ignacy Kamiński, stąd też są częste o nim wzmianki w pamiętniku. Tymoteusz Lipiński, współautor Starożytnej Polski, zbieracz przysłów, autor „Zapisków“ (wydanych w Krakowie w r. 1885 przez K. Bartoszewicza) był dziwakiem, odludkiem, o którym krążyły humorystyczne wiersze, a nawet żartobliwe poematy. (W bibliotece Jagiellońskiej jest rękopis sporego i nazbyt swawolnego poematu, którego bohaterem był Lipiński, a autorem Seweryn Oleszczyński, znany kartograf i rysownik). Piotr Skrzypiński, późniejszy autor szkolnych podręczników, był za młody dla „pana inspektora“, a za „suchy“ dla jego syna. Z Janem Papłońskim, znanym filologiem, później cenzorem, wizytatorem szkół, następnie zasłużonym dyrektorem Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, profesorem Szkoły Głównej, autor pogodzić się nie mógł; sam gorący patriota, nie znosił oportunistów, a przyszły cenzor był ich typowym przedstawicielem. W dwadzieścia lat później, kiedy Papłoński, członek Rady Wychowania za Wielopolskiego, na salonach Krzywickiego rzucił jakiś frazes patryotyczny, Bar-

toszewicz nie wytrzymał i wobec wszystkich zawołał: „panie Papłoński! odkądże to pan został Polakiem?”

Gimnazjum gubernialne, w którym autor pamiętnika został nauczycielem, miało na swem czele dyrektora w osobie radcy stanu, kawalera orderów, Mikołaja Filipowa. Rzecz prosta, że z tym dygnitarzem łączyły Bartoszewicza jedynie stosunki czysto oficjalne. Za to bliskimi mu byli niektórzy starsi koledzy, jak np. X. Józef Mętlewicz, głośny kaznodzieja, Aleksy Nendzyński, znakomity filolog, Teodozy Sierociński i Feliks Zochowski, znani gramatycy, Antoni Waga głośny przyrodnik, jak wreszcie Dominik Bartoszewicz, późniejszy dyrektor instytutu puławskiego panien. Wszystko to byli ludzie, mający już, lub zdobywający sobie wybitniejszą, czy skromniejszą kartę w dziejach polskiej pedagogii lub nauki. Młodziutki kolega interesował ich ze względu na przyjazne stosunki, jakie ich łączyły z jego ojcem. Najbliższym z nich był mu, zdaje się, Nendzyński, bo go często odwiedzał. I inni starsi koledzy sympatyzowali z autorem pamiętnika. „Rano w gimnazjum (zapisuje na pierwszej jego karcie pod 13 sierpnia) chwalili mnie za skromność: inspektor Stępiński, oraz Smarzewski, Łyszkowski, Bartoszewicz (Dominik)“.

Łyszkowski Maksymilian, autor, przez jakie lat dwadzieścia używanych w szkołach Królestwa, „Wypisów polskich“, należał już do młodszych kolegów Bartoszewicza, bo był nauczycielem nadetatowym. W gronie ich spotykamy nazwiska X. Topolskiego, Feliksa Mazurkowskiego, Franciszka Jasińskiego i t. d. O każdym z nich są wzmianki w pamiętniku.

Ale nie na tem kończyły się bliższe znajomości lub przyjacielskie stosunki J. Bartoszewicza z kole starszych i młodszych kolegów. Można powiedzieć, że wyjątkiem był ktoś z grona pedagogów warszawskich, któryby nie bywał w domu Bartoszewiczów, a przynajmniej z ojcem lub synem nie znał się osobiście, więc na każdej prawie karcie pamiętnika spotykamy się z takimi nazwiskami jak: Wojciecha Jastrzębowskiego, znanego przyrodnika, Jana Szwajnica, autora trzytomowej historii rzymskiej, Seweryna Zdzitowieckiego, Dominika Szulca, X. Pawła Rzewuskiego, lub przyjaciół i rówieśników autora: Szmurły, Wiewegera, Aleksandrowicza, Przysańskiego, Pankiewicza, Szlezygiera, Rogińskiego, i t. d. Niektórzy z nich byli z nim razem w Peterburgu, jak Wieweger, który na uniwersytecie imponował profesorom swą wiedzą filologiczną i był kandydatem na „znakomitość“, lecz zawiódł całkiem nadzieje i został czasem tylko nadzwyczaj marnym dyrektorem gimnazjum II w Warszawie (na Nowym Świecie w b. klasztorze Misyonarzy). Nazwiska Aleksandrowicza, Przysańskiego, Pankiewicza, Szmurły, nie potrzebują objaśnienia. Kazimierz Rogiński „Rogal“ należał później do najpopularniejszych między młodzieżą pedagogów—był przed Wiewegerem dyrektorem II gimnazjum, kiedy jeszcze znajdowało się w pałacu Staszica (Tow. Prz. Nauk); syn jego był jednym z dowódców powstania r. 1863.

Nazwisko X. Pawła Rzewuskiego, późniejszego biskupa sufragana warszawskiego, wprowadza nas w nowe koło przyjaciół domu Bartoszewiczów. Było to tak zwane „koło podlaskie“. Adam Bartoszewicz był przez dłuższy czas profesorem szkoły wojewódzkiej w Białej Radzi-

wilłowskiej, a następnie profesorem i dyrektorem takiejże szkoły w Łukowie; w Białej się ożenił, w Białej urodził mu się syn pierworodny, autor pamiętnika, w Białej marszałkował na sejmikach za Królestwa kongresowego. Znajomości i stosunki przyjacielskie, związane na Podlasiu, nie zerwały się po translokacji jego do Warszawy; kto przyjechał do stolicy z Białej, Łukowa lub ich okolicy, ten jak w dym szedł do Bartoszewiczów. Co więcej, wielu podlasiaków również los przeniosł na bruk warszawski — i tu właśnie tworzyli owe przyjacielskie „Koło podlaskie“. X. Rzewuski, człowiek niesłychanej dobroci, jedna z najpiękniejszych postaci kleru polskiego, najbliższy pomocnik arcb. Felińskiego, zarządzający później archidiecezją po jego wywiezieniu, następnie sam długoletni wygnaniec w Astrachaniu, i to wygnaniec, który — ostatni z biskupów polskich — otrzymał pozwolenie wyjazdu zagranicę, — był uczniem Adama Bartoszewicza w Białej, a przyłgnąwszy sercem do starszego zaledwie o dziesięć lat nauczyciela, pozostał najwierniejszym przyjacielem całej jego rodziny<sup>1)</sup>. Prócz niego z pedagogów do Kółka podlaskiego należeli: X. Józefat Szczygielski, zastępca profesora w Akademii duchownej, rektor instytutu głuchoniemych, później kanonik i wygnaniec w Carewokokszajsku, również aż do grobu serdeczny przyjaciel domu Bartoszewiczów; dalej Józef Bystry, inspektor szkół, spokrewniony z Bartoszewiczami i Ludwik Koncewicz, były uczeń i nauczyciel szkoły bialskiej, „spiskowiec“, jak to widzimy z „Miscellaneów“ Al. Kraushara (Panta Kojna), później dyrektor gimnazjum w Łukowie, następnie prywatny nauczyciel języka polskiego w Warszawie, ceniony w swoim czasie gramatyk, autor „Prawideł pisowni polskiej“. Z domem jego stosunki całej rodziny Bartoszewiczów, były bardzo zażyłe, a „Teofilka“ Koncewiczówna w tych ustępach pierwszej części pamiętnika, które w niniejszych fragmentach opuszczam, jest osobą „najwybitniejszą“, ideałem piękności, dobroci i wszystkich przymiotów, w jakie fantazja zakochanego ubiera przedmiot swoich miłosnych zapalów.

Z po za stanu nauczycielskiego do „Koła podlaskiego“ należeli jeszcze: Józef Wiczorkowski, późniejszy prezes sądu kryminalnego i senator, nietylko przyjaciel osobisty autora pamiętnika, ale później i opiekun jego nieletnich dzieci; Aleksander Preyss, w pamiętnikach zawsze nazywany „Preisikiem“, syn inspektora szkoły bialskiej, późniejszy dyrektor czy vice-dyrektor Towarzystwa kredytowego ziemskiego, prezes zarządu Towarzystwa Dobroczynności, Józef Zengteller, wuj autora, artylerzysta z r. 1831, później naczelnik w Izbie obrachunkowej, wreszcie Welinowicze, Węzykowie, Kuszłowie, Czermińscy i inne rodziny podlaskie.

Po za tem, spotykamy w pamiętnikach nazwiska: Kosztulskich, Konopków, Pilchowskich, Sosnowskich, Kiersznowskich, Baderów, Górskich, Lebrunów, Mojchów, Boguszewskich, Betlejów, Hanuszów, Kozubowskich, Karwowskich, Szulków, Lesiszów i t. d. i t. d. Były to prze-

---

<sup>1)</sup> Życiorys Rzewuskiego pióra K. Bartoszewicza wyszedł w Krakowie w r. 1893. Następnie znacznie uzupełniony ukazał się w Kwartalniku teologicznym (Warszawa 1906).

ważnie rodziny obywatelskie lub urzędnicze, częścią zaprzyjaźnione z rodziną Bartoszewiczów, a częścią zostające z nią w stosunkach bliższej znajomości. W czasach tych bowiem, życie towarzysko-domowe silnie pulsowało w sferach inteligencji warszawskiej, dzięki prawdopodobnie skromnym wymaganiom i uciskowi „ojcowskich“ rządów Paszkiewicza. Życie publiczne nie istniało, z każdym słowem i z każdą myślą kryć się było trzeba, „domy“ więc były nietylko ogniskami rodzinnymi, ale i azylem, w którym można było swobodniej odetchnąć, niż w duszącej atmosferze biur i ulicy, można było zrzucić ów mundur, którym połowę inteligentnej Warszawy skrępowano...

Takie było środowisko, w jakim przyszło żyć Juljanowi Bartoszewiczowi w chwili, kiedy stawiał pierwsze kroki na polu pracy historycznej. Opuściłem tylko jego stosunki literackie, obraz ich bowiem znajdzie czytelnik w ustępach pamiętnika, który tu drukiem ogłaszam.

K. B.

## PAMIĘTNIK.

### Cz ę ść p i e r w s z a

1842 — 1846.

R. 1842, 25 lipca przyjechałem do Warszawy z Petersburga.

27 lipca przedstawiłem się Okuniewowi.

1 sierpnia generał podpisał moją nominację.

11 sierpnia. Sesja 2-ga w gimnazyum od 4 do 7 pop. Pierwsza była w sobotę 6 sierpnia. Dostałem godzin 20 na tydzień w 3 i 4 klasie obu oddziałów, języka łacińskiego. W klasie III po 4, w IV po 6 godzin.

12 sierpnia. Do wpół do 1 układałem ze Smarzewskim listy uczniów płatnych ze wszystkich klas 7-miu, a z sekretarzem Strasburgerem listy wszystkich uczniów. Przy odejściu mojem było 565 zapisanych...

16 sierpnia, wtorek. Dziś mieliśmy rozpoczęcie roku szkolnego. X. Mętlewicz oddał mi rozkład przypadłych na mnie lekcji. O 9 wręczono mi listę uczniów klasy IV i polecono abym rozdzielił tę klasę na oddziały A. i B. W oddziale A. mieli być katolicy i ci, którzy nieprzysposobieni są w języku francuskim, (t. j. przyszli ze szkół obwodowych, albo z prowincji). Uczniów w tej klasie było 84... Potem poszliśmy do kościoła Wizytek. Tam X. Mętlewicz zagaił, a potem odprawił mszę św. i zaintonował *Veni Creator*...

17 sierpnia. Miałem pierwszą lekcję w klasie 3 A od 9 — 10. Dostyć jeszcze niewprawnie pełniłem obowiązki nauczyciela.

18 sierpnia niedziela... po obiedzie Świdzki przyszedł do mnie, prosząc, abym wykladał w jego instytucie język słowiański i historię rosyjską. Odmówiłem—bo to nie dla mnie. Poznałem na wodach Dubrowskiego, redaktora Jutrzenki<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Dubrowski Piotr, ur. w Kijowie; od r. 1845 był cenzorem. Jutrzenka była poświęcona sprawom słowiańskim.

19 sierpnia. Poszedłem z ojcem do Nendzyńskiego, w drodze wstąpiliśmy do Łyszkowskiego, aby go z sobą zabrać. Nendzyński tydzień dopiero jak wrócił z Krakowa, dokąd jeździł z Rychterem Ignacym i Rychterową. Nendzyńscy widzieli Wieliczkę i opowiadali nam wiele rzeczy godnych słuchania. Bardzo interesująca była rozmowa o literaturze naszej i o Krakowie. Nendzyński poznał w Krakowie Muczkowskiego, nie zastał Wiszniewskiego, który mieszkał przez lato w Łobzowie<sup>1)</sup>.

26 sierpnia. Byłem z mamunią w teatrze. Grali 8-my raz „Żądę wywyższenia się“, dramat w 2 aktach Bayarda i 36 raz „Jedną chwilę“. W tej ostatniej przywoływano Halpertową. Nie mam słów na ocenienie tej artystki. Tak nędzna sztuka staje wiele znaczącą przez jej grę. Szkoda, że w tragediach występować nie może<sup>2)</sup>.

29 sierpnia. Poszedłem do biblioteki publicznej. Zaorski<sup>3)</sup> dał mi do przeglądania inwentarze. Są dość szczupłe. Prawo ma najwięcej, bo przeszło 500 numerów. Pokazywał mi Zaorski spisy książek, które przysły z Petersburga z pierwszego daru; drugi jeszcze nie nadszedł. Wziąłem do domu Kronikę Chwałkowskiego Mistrzów pruskich, Inflant i Kurlandyi historię (w Poznaniu 1712 in 4<sup>o</sup>).

31 sierpnia. Był pogrzeb Rautenstraucha<sup>4)</sup>. Ogromna masa ludzi. Pogrzeb miał być bardzo wspaniały. Za trumną szła córka zmarłego z dwojgiem dzieci, pani Rupio z p. Halpertową. Halpertowa szła w żałobie, reprezentując teatr. Dwunastu urzędników, po cywilnemu ubranych, niosło trumnę. Orszak szedł Senatorską, Bielańską i Długą do Kapucynów. Były wszystkie zakony warszawskie prócz Misyjonarzy. Celebrował biskup Chmielewski. Na ulicy Bielańskiej wojsko dało ognia. Paskiewicz i wszyscy obecni jenerałowie byli w żałobie.

10 września, sobota. Po 6-tej poszedłem do Zdzitowickich. On był majorem czy nawet pułkownikiem w wojsku polskim<sup>5)</sup>. Zaprosił mnie do siebie, mówiąc, że będzie jeszcze kilku innych profesorów. Zdzitowiecka jest z domu Wójcicka, siostra rodzona naszego starożytnika, dostała w posagu od swojego ojca dom, w którym mieszka na Podwalu, brat zaś dostał wieś Kielbaski na Podlasiu. Nie znałem jeszcze p. Kazimierza Władysława, więc pokazywała mi portret jego, przysłany z Zamościa w r. 1831, kiedy zostawał w niewoli. Przyszedł Mojcho, Jasiński, który, jak mówiła gospodyni, był niegdyś na jej pensyi, a teraz jest jej syn profesorem. Potem pokazali się księża biskupi Pa-

<sup>1)</sup> O Nendzyńskim i Łyszkowskim wzmianki we wstępie. Rychter Józef, bibliograf. ur. 1804 + 1844 był bibliotekarzem Zamojskich.

<sup>2)</sup> Halpertowa Eleonora z Zuczowskich ur. 1803 + 189... jedna z najznakomitszych artystek dramatycznych. Opuściła scenę w r. 1850. Wprowadziła na nią naturalność, prostotę.

<sup>3)</sup> Paweł Zaorski bibliograf ur. 1780 + 1862. Sprowadzony przez Lindego był zastępcą bibliotekarza, a od r. 1849 bibliotekarzem.

<sup>4)</sup> Józef Rautenstrauch, jenerał dewizyi, dyrektor Kom. wojny za Król. kongr. W powst. 1831 opuścił z W. Ks. Konstantym Warszawę. Później dyrektor teatr. warsz.

<sup>5)</sup> Józef Zdzitowiecki w Spisie wojska polskiego przed rokiem 1831 figuruje jako podpułkownik grenadyerów gwardyi,



włowski i Chmielewski<sup>1)</sup>. Pawłowskiemu przypomniałem pobyt w Petersburgu. Za nimi zdążył p. referendarz, wizytator szkół Radomiński<sup>2)</sup>. Na końcu przyszedł i p. Seweryn Zdzitowiecki, profesor, jakiś daleki kuzyn gospodarza. Biskupi, Jasiński, Radomiński i gospodarz siedli do wista. My zaś reszta słuchaliśmy ślicznej gry na fortepianie małego Henrysia i śpiewu samej gospodyni. Nadszedł jeszcze ksiądz przeor Dominikanów Dąbrowski, niegdyś nauczyciel religii w szkole pod dozorem mojego ojca zostającej. Po kolacyi zaraz wynieśli się biskupi a i ja wkrótce pożegnałem gospodarstwo... Prof. Zdzitowiecki opowiadał o swojej podróży, odbytej w tym roku nad Ren. Henryś ślicznie gra na na fortepianie—uczył go Otto czech, teraz Melzer. Ma i głos ładny. Elsner wprowadził go na chór do Pijarów, i tam śpiewa co niedziela i święta. Żadnego mały wirtuoz koncertu nie opuści; zna prawie wszystkie, jeżeli nie ze słyszenia, to z dzieł, znakomitości muzyczne euuropejskie..

27 września. Po obiedzie wzięłem V akt *Franceski* i dokończyłem całą tragedję. Kiedym ją kończył, drżałem cały, tak rzecz była okropna<sup>3)</sup>. Ojciec z matką wybrali się na teatr. Grano „Nasze przebiegi“, sztukę, w której przedstawiona jest podobno cała rodzina Epsteinów. Żółkowski ma naśladować ruch, mowę, obejście się naczelnika tej rodziny. Ztąd też za życia Rautenstraucha kilka razy tylko przedstawiano tę sztukę, bo R. żył w przyjaźni z Epsteinami. Teraz Abramowicz wznowił ją. Mówią także, że w tej sztuce przedstawieni są również Tymowski i Aleksander Potocki<sup>4)</sup>. Tymowski tak miał być przedstawiony, że miał powiedzieć sam Żółkowskiemu: „Tak dobrze mnie odegrałeś, że miałem sądzić być na scenie; tylko szpilkę miałeś fałszywą, weźże tę z brylantami, żebyś był mną zupełnie“. Facecya to niezawodnie, bo dziś nie śmiano by przedstawiać takich osób jak T. lub Al. Pot. Warszawa cała poleciała dzisiaj na „Nasze przebiegi“. Bilety już na kilka dni z góry były rozkupione.

15 października. Byłem na wieczorze u Zdzitowickich; były to jej imieniny. Kiedy przyszedłem o 7-ej, zastałem już dwie jakieś damy, pana senatora, radcę tajnego Łubieńskiego, jakiegoś pułkownika Kraszewskiego z biura feldmarszałka i kolegów Jasińskiego i Zajdowskiego. Potem zaczęło się schodzić mnóstwo osób: pani jenerałowa Pawłowska z mężem, pan sędzia czy prezes Łanowski, pan Mojcho, pan Filipow, pan referendarz stanu Radomiński, Elsner muzyk i t. d.<sup>5)</sup>. Dużo także

1) Tomasz Wieniawa Chmielewski, biskup sufragan, był admin. archidiecezyi warszawskiej. Ks. Franciszek Pawłowski biskup płocki.

2) Jan Alojzy ur. 1789 + 1864.

3) *Silvio Pellico*: „Franceska z Rimini“. Słynny ten dramat tłumaczył J. Bartoszewicz wierszem z oryginału podczas pobytu na uniwersytecie w Petersburgu. Dokończył tłumaczenia w Warszawie. Za bytności w Warszawie słynnej Ristori, która zbierała laury w roli Franceski, przekład ten na gwałt wydrukowano, aby publiczność „nie siedziała na włoskiem kazaniu“.

4) Pułkownik Abramowicz Ignacy, dowódca dyw. żandarmów i dyrektor teatrów warszawskich. Tymowski prezes Banku Polskiego.

5) Jan Łubieński, Andrzej Łanowski, prezes Trybunału handlowego. Filipow, dyrektor gimazyum. Karol Mojcho. wówczas „rysownik“ w oddziale pomiarów komisji skarbu, zmarł 9 maja 1906.

kobiet. Zaczęły się wisty i preferansy. Jakaś panna Friedenstein po wielu wzdraganiach zasiadła do fortepianu i grała cudownie a śpiew jej był jeszcze cudowniejszy. Nadzwyczajna biegłość w palcach, uczucie mocne—głos silny czysty i płynny. Śpiewała swoje kawałki i wyjątki z la Somnambula. Byłem cały w upojeniu, w uniesieniu tak dalece, że nawet przesładowano mnie śpiewaczką, lubo, co prawda, zakochać się w kim nie było. Czemu tak piękna dusza w tak brzydkim kryje się ciele? Ale p. Friedensteinówna jeżeli nie jest, to będzie z czasem znakomitą artystką; ma już wiele swoich kompozytów, które podobno w teatrze niezadługo grywać będą. Niedawno jest w Warszawie, bo była gdzieś zagranicą... Na tychże imieninach poznałem sławnego p. Wójcickiego, brata gospodyni. Człowiek wzrostu średniego z ogromnymi faworytami, twarzą długą, oryginalną, czarniawą, co bardzo wschodnie rysy przypomina, z wejrzeniem dziko ponurem, bez najmniejszego w twarzy wyrazu, z oczami dużymi,—to pan Wójcicki. Chód jego niezgrabny i uderzający oryginalnością. Wogóle w całym ruchu oryginalność. Zdaje się, że p. Wójcicki umyślnie się tak wyróżnia. Wielkiż bo to człowiek. Z nikim nie mówił, do nikogo się nie zaśmiał. Łaził jak upiór pomiędzy żyjącymi, i długimi nogami jak patykami utykał. Mój Boże, jest tu w co dać! w sławę, zbudowaną z przypowiastek, klechd i baśni, dziko nagromadzonych bez ładu i ciagle i wszędzie.

18 października. Wczoraj w bibliotece przewracałem *Epistolae familiares* Załuskiego, dziś zaś tom IV Niesieckiego. Szukałem w nim jakiej wiadomości o rodzinie Szczerowskich, ale nie znalazłem żadnych. Notowałem sobie genealogię Sapiechów i przeglądałem Kuryera Warsz. z 1831 r. Po obiedzie wybrałem się do galerii obrazów w domu Tow. Warsz. Dobroczynności<sup>1)</sup>. Na pierwszym piętrze jest sala i sześć pokoiów. Na drugim sala wielka i także kilka malutkich pokoiów. Wszystkie boki zajęte były mnóstwem obrazów; gdzieindziej tylko puste miejsca świadczyły, że gospodarze, czyli raczej właściciele obrazów o odebranie ich byli gorliwi. Było istotnie co widzieć; obrazy stare i nowe krzyżowały się wszędzie. Pp. Franc. Potocki, Tomasz Łubieński, komisarz Zieliński, Steinkeller otworzyli galerie swoje. Ze starych mistrzów widzieć się dały obrazy pędzla — Dürera, Salvatora Rosy, Canaletti'ego, Bacciarellego, Rubensa, Van Dycka, Rujsdala; był nawet oryginał jeden Rafała. Z nowych naszych widziałem: „Trzy Gracye“, obraz Lampi'ego, własność Steinkellera. Rysunek precudowny. Trzy nagie Gracye, prawdziwie piękne; to też mnóstwo osób przypatrywało się temu obrazowi. Dla porównania był „Edyp ślepy z córką“, pędzla Brodowskiego i takż Edyp Kokulara; zdaniem mojem Kokular zgasł przy Brodowskim. W ostatniego kompozytówi twarz nieszczęśliwego Edypa pełna wyrazu boleści, włosy długie czerniawe; jedną ręką wspiera się Edyp na kij, drugą na córce, której wyraz twarzy także głęboką

1) Przytaczam w całości to sprawozdanie z Wystawy, dające pojęcie jak się przed 70 laty zapatrywano u nas na sztukę i na „wielkich mistrzów“. Dziś z uśmiechem czytamy naiwne zachwyty nad takim np. Suchodolskim, ale każde pokolenie miało, ma i mieć będzie swoje bożyszczka i gusła. Nie każdy też z dzisiejszych „wielkich“ będzie nim za lat... 70. K. B.

boleść wydaje. Córka na obrazie Kokulara jest jakaś nieczuła, bez wydatności istota. Już ten błąd jeden cały urok odejmuje całej kompozycji — a nadto utrzymują znawcy, że tu wiele innych znaleźć by się dało omyłek. Są także Brodowskiego z obrazu do Konrada Wallenroda, na które natrafiłem dopiero już przy wyjściu z wystawy, kiedy ją zamykano. Co za szkoda, że nie wiedział wcześniej o tych dwóch scenach, odrysowanych z poematu Mickiewicza—byłbym się im przypatrzył dłużej. Ma coś romantycznego, coś rycerskiego w sobie cały świat krzyżacki; pamiątka jego mile zajmuje. To też obrazom Brodowskiego przyglądałem się z ciekawością; wszędzie tam widzisz śniegi, — pola, lasy, domy, wszystko śniegiem pokryte. A wśród tego 1812 roku z czasów krzyżackich, widzisz konno kilku rycerzy Zakonu, bez ruchu, bez życia. Twarz ich obumarła i serce zdaje się, nie bije. A na ziemi walają się ciała pobitych, ginących z utrudzenia i mrozu. Patrz, rycerz jeden śniegiem na pół przykryty; widać tylko nogę jego, i twarzy nieco i rękę, którą napróżno zdaje się prosić o pomoc. Konni widzą to i sami potrzebują ratunku. Ta atmosfera śniegu i zimy wielkie robi wrażenie. Konrad Wallenrod stawia się myślom ze swoją okropną zemstą za ojczyznę, jak olbrzym, jak upiór, co zaledwie pojęty być może. W każdym zarysie Brodowskiego widać śmiałość myśli i doskonale przejęcie się przedmiotem. Nie wiem jak krytyka umieści w rzędzie artystów naszych Brodowskiego i Suchodolskiego, ale we wszystkich obrazach pierwszego jest coś, co drugiego przypomina; we wszystkich utworach obu tych mistrzów widać pokrewność jakąś i podobieństwo, a ta pokrewność zasadza się na niezwyklej sztuce cieniowania przedmiotu i wykonczenia w obrazie szczegółów. Tak np. obraz „Dwóch Kurdów“ (własność Czetyrkina <sup>1)</sup>), jest doskonale wykonczony podobizną ubioru, ruchu, powierzchowności Kurdów. Mniej może wrażenia sprawiło „Podanie się Erzerum“, także Suchodolskiego. Widać miasto azyatyckie, opasane ze wszech stron murem i wewnątrz porozcinane murami, głuche, bez życia, jakąś tajemnicą i bezruchowością swoją nudne. I dzięki tej okolicy nie upiększa nawet wizerunek człowieka. Tylko przed miastem widzisz wojsko rosyjskie: na przodzie starszyzna i kilku jeuniorów przyjmują klucze od mieszkańców miasta, za którymi widać głów kilkanaście podejrzaných, kilkanaście oczów, oddychających krwią i zemstą azyatycką. I nic więcej; w całym obrazie niema życia, bo Erzerum wydaje się jak grób, jak zbiór mogił tylko. Przytem ten ciągły i do znudzenia w obrazach Suchodolskiego przedstawiany był żołdak, razi zawsze i ciągle. Na twarzach żołnierzy nie widać męstwa, a jeżeli jak w „Szturmie Achałcyku“, widać kilka twarzy prawdziwie bohaterskich, wierzyć się nie chce, żeby tak było w istocie. W „Achałcyku“ koloryt prawdziwie przepyszny, w Erzerum i tego niema. Tam nadto życia, tu chłód, mogiły... Tam luno cały obraz zapełniają, wszędzie ogień, rzeź, zaciętość... tu imaginacja straszliwie zawiedziona zostaje, kiedy wprzód o cudach, bo to obraz Suchodolskiego, marzyła. Dlaczego to zawsze mistrz nasz rysuje tylko widoki z wojen kaukazkich? Że on

---

<sup>1)</sup> Romans Sergiusza Czetyrkina, „Główny medyk armii“, w warszawskim zarządzie generał sztab-doktora.

sam był na tej wojnie, nie usprawiedliwia go to wcale. Dzieje polskie tyśiące mu cudownych przedmiotów dostarczą. A historyczne polskie malarstwo nasze tak jeszcze ubogie! Jak bylibyśmy wdzięczni Vernetowi naszemu za obrazy ojczyste! Na wystawie, o której mowa, był obraz (nie wiem czy) Saryusza na polu pod Płowcami. Nie wiele ten obraz zdobiło wymysłu, nie mówił za nim koloryt, a przecież sto razy milej patrzałem na biednego rannego, jak na zdobycie Erzerum i Achałcyku. Tamten obraz mówił do serca, do czucia; razem z Saryuszem ubolewałem nad tem, że źle mieć złego sąsiada. Bolesławy, Władysławy nasze, hetmany, książęta,—to zbiór niewyczerpany do historycznych powieści, do malowideł historycznych, ojczystych. Krajobraz z ojczystego kraju czasem przyjemniejszy od wielkiego obrazu. Głowacki krakowianin, wymalował miejsce zkad Wisła wypływa. Jakie to śliczne! Zdaleka widać nagie szczyty Karpatów, pod niebo wyległych; u stóp Karpat las gęsty, jodłowy. Na przedzie z lasu wypływa strumyczek, który, spływając z góry, w tyśiące rozpada się kropli, w tyśiące strumyków rozłata. Po całej drodze białej rzeki leżą kamienie wielkie i małe, świadki może stworzenia ziemi naszej. Woda odbija się o te kamienie i widzisz razem tyśiące fontan srebrzystych, o które—odbija się słońce. Dla ożywienia malarz pod lasem umieścił dwie dziewczęta wiejskie piórące, a z drugiej strony kilku wieśniaków z kosami i jednego konno. Obraz śliczny, romantyczny. Myśl posuwa się w przeszłość i sercu miło, że czuć może, chociaż na obrazie tylko, obecność rodzimej Wisły, co już tak dawno polskie łany użyźnia. Tęsknota i smutek zaraz ci radość odbiorą, jeżeli ją miałeś, a jednak tęsknota jest tak wtenczas przyjemna! Za obraz ten Głowacki wziął premium na wystawie w Wiedniu. Czemuż choć krajobrazu ojczystego nie wystawi w swoich utworach nasz Suchodolski?

Z innych obrazów zwróciłem uwagę na „Ulanów polskich pod Somo-Sierra. Myśl tę, już na płótnie pięknie wystawił Horacy Vernet. Oryginalny także obraz, przedstawiający „Piotra Wielkiego na statku w czasie okropnej burzy na Newie, nie wiele zajmuje. Takż sam obraz Stenbona jest interesowniejszy. Kokular dał portret córki swojej przy fortepianie i wymalował mieszkanie swoje, w którym także widać córkę jego przy oknie z książką i dwoje małych dzieci; na ścianie wisi obraz Edypa, o którym mówiłem wyżej. Portretów było także wiele; z tych portret X. Benjamina, kapucyna, jest cudnie trafiony i cudnej roboty Lampiego; niema tam farby do zbytku, na płótnie nie sterczą góry z farb, jak to często widzieć można w obrazach, nawet u Suchodolskiego. Baciarellego pędzla była cała prawie rodzina Stanilawa Augusta; sam król, książę Józef, stostra jego Tyszkiewiczowa—i matka hrabianka Kińska, przy której stoi małutki jeszcze książę. Twarze nie piękne. Było także kilka portretów z rodziny cesarskiej. Pan Koitkowski udzielił ze zbioru swojego kilkanaście obrazów bardzo drogie i cenionych—niektóre z nich były na miedzi, jak np. portret królowej angielskiej Wiktoryi, zajmującej się czytaniem raportów. W tejsze samej salce, co i ten ostatni portret, był obraz wielki „Wylądowanie Karola V do Algieru“, pędzla najznakomitszych ówczesnych artystów. Także starożytny obraz, 200 lat przeszło mający, „Zdjęcie z krzyża Jezusa Chrystusa“.

Na końcu zostawiłem sobie powiedzieć słów kilka o „Świętej Magdalenie“, obrazie wymalowanym w Paryżu 1842 przez panią Prechamps de Hryniewicz, przysłanym niedawno do Warszawy. Zdumiewa to dzieło młodej polki. Jest to obraz oryginalny, w którym wszystko chwalić potrzeba—i myśl i koloryt i wykonanie. Święta siedzi na ziemi, włosy blond spuszczone na śliczne ramiona, obnażone plecy. Twarz piękna, ale prawdziwie piękna; w twarzy i boleść i żal za dawniejsze życie wyraźny. Istotnie jest na co patrzeć.

Wystawa zatem była dosyć interesująca. Niektóre obrazy wystawiono na sprzedaż. Tak np. dwa obrazy Salvatora Rosy cenione 10,000 złp. Dwa pejzaże Canalettego 2,000 złp. Prócz malowideł, były i rysunki i widoki litografowane Warszawy i Petersburga, także Kazimierza w poznańskim i kilku innych miast polskich. Były i wyroby kobiece z włóczki i cały plac admiralicyi w Petersburgu, z papierków różnokolorowych wykrojony. Stroje także dawne kobiet na rysunkach szkół dawnych zwracały uwagę powszechną.

O 5 wyszedłem z wystawy—przy domu spotkałem Prejsika, obiecał przyjść do nas jutro i książki przynieść do czytania. Matkę za powrotem zastałem w domu, nie wychodziła nigdzie, bo jej ktoś przeskodził; wybierała się tylko do Miecycjakowej. Za nią poszliśmy wszyscy... Ale co mnie najwięcej u pp. Miecycjaków zastanowiło, to kilka malowideł. Dwa z nich przedstawiały korpus kadetów warsz. za Stanisława Augusta. Na pierwszym, na przodzie stoi książę Adam Czartoryski, komendant kadetów, około niego pełno „polusów“ z karabelami w kontuszach. Książę przyjmuje dzieci do korpusu, a rodzice mu je przedstawiają. Na drugim także książę i także rodzice z dziećmi. Ale z prawej strony widać już kilkunastu malutkich żołnierzy. Na przodzie mały chłopczyk, oparty o poręcz: właśnie to dla niego książę czyta przyjęcie do korpusu, a ojciec chłopca kłania się księciu. Drugi stoi mały kadet, ładny, z zadartym nosem, i kiedy wszyscy inni jego kole-dzy zajęci sobą, a główny interesant zachowuje się obojętnie, on ciągle patrzy na księcia i oczów z niego nie spuści. Książę to widzi i zda się mówi: „ty będziesz wielkim człowiekiem!“ I zgadł książę, bo ten malutki uważny kadet, już wówczas wyższy nad rówieśników swoich, to Kościuszko. Obrazy i ładne i interesujące, ale czyje—niewiadomo. Miecycjak kupił je na licytacji. Wyznaję, że szczerze radbym posiadać te obrazy, jako miłą upłynioną przeszłości pamiątkę<sup>1)</sup>.

*22 października.* Dziś jest w Kuryerze mój artykuł o pomnikach pani Wężykowej w Toporowie. Artykuł okropnie pocięty i popsuty przez cenzurę.

*5 listopada.* Dziś o 6 wieczorem przyszła do nas pani Wężykowa. Była to zacna Toporowa dziedziczka, pobożna, poczciwa, przyjacielska kobieta, która wiele przeżyła, wiele cierpiała, która była w biedzie a te-

<sup>1)</sup> Oba te obrazy przeszły później na własność Adama Bartoszewicza, ojca Juljana, a dziś znajdują się w posiadaniu wydawcy pamiętnika. Oba pochodzą z końca XVIII w. Jeden z nich nosi cechy pendzla Norblina. Jedynkowy ich format nasuwa przypuszczenie, że pochodzą z większego cyklu, który przedstawiał sceny z życia kadeckiego, wykonane na zamówienie księcia generała ziem podolskich.

raz bogata; kobieta bez nauki, ale szczerą, prostą, naturalną, lubiącą kiedy ją chwala, ale przytem skromną, pochodząca z pięknej rodziny, spokrewnionej z pierwszymi rodzinami Polski, ale bez uprzedzeń arystokratycznych, zresztą nie piękna, ale bardzo miła i mająca lat 52. Córka Józefa z Hobodowa Kuszla i Teresy Ossolińskiej, prześladowana od macochy, zaprzędana w dzieciństwie do klasztoru sandomierskiego panien, ztamtąd cudem prawie wydobyta, potem w r. 1815 żona Ignacego Wężyka, brata poety i posła na sejmy w Król. Kongresowem; od r. 1819 dziedziczka Toporowa po Ossolińskich i matka Władysława Wężyka, podróżnika po Wschodzie, Seweryna i Marcelego, który umarł w wieku dzieciennym... Pani Wężykowa zabawi w Warszawie do przyszłego piątku, potem jedzie do Radzienic, do Józefa Krasińskiego, oboźnica koronnego, którego syn Adam zaprosił ją w Siedlcach do tej podróży. U Krasińskich jest jakiś staruszek Ossoliński, krewny jej matki, z nim to chce się zobaczyć przed śmiercią pani Wężykowa, bo kto wie jak wypadnie. Dziś przyjechała do Warszawy i zaraz przybiegła do nas. Rozmowa z nią bardzo interesująca, to dobre serce tak się lubi przed zaufanymi wywnętrzyć. Dowiedzieliśmy się dużo nowin podlaskich... Opowiadała nam długo pani Wężykowa o poświęceniu figur N. Panny Niepokalanego Poczęcia i św. Antoniego r. b. 26 września w dobrach Toporowskich odbytem, o czem pisałem artykuł w Kuryerze d. 22 października r. b. Była to istotnie uroczystość godna tak pobożnej pani. Był to hołd publiczny Bogu oddany, budujący i wzruszający serce. Celebrował biskup sufragan Lewiński. Duchowieństwa łacińskiego i ruskiego było do 120 osób. Narodu z odpustów Leszniańskiego i Chotyckiego zgromadziło się do 8000: jednych przyciągała pobożność, drugich zabawy, innych znowu dożynki, w tymże dniu przez dziedziczkę wyprawiane. Obywateli było także mnóstwo. Nabożeństwa budującego dużo. Modlono się i w cerkwiach ruskich i kościołach łacińskich. Po nieszporach nad wieczorem rozpoczęły się ceremonie poświęcenia. Szła długa, poważna, patryarchalna procesya z cerkwi do św. Antoniego. Tu modły i obrzędy — z kazaniem wystąpił ksiądz Wereszko — i to kazanie miało być historyczne! Po śpiewach kondukt udał się do drugiego pomnika, przeszło 2600 kroków po grobli; wśród ciemnej nocy, przy blasku gwiazd i pogodnym niebie, wśród tysiąca świateł, które garściami odbijało się w sadzawkach, wśród pobożnego, świętobliwego śpiewu szło pontyfikalnie duchowieństwo i lud w ubraniu świątecznym. U figury N. Panny no...e światło; cały pomnik ustrojony w wieńce z lamp iskrzył się cudownie i daleko rozrzucał jasność. Za pomnikiem ogródek w piękne drzewka przyozdobiony. Tu znowu modły, śpiewy. Biskup poświęcił, a ks. Jan Welinowicz miał piękne kazanie. Następnie wychowanki Wężykowej, wieśniaczki z dóbr jej, śpiewały smętnym, przeciągłym, melancholijnym głosem pieśń: „Niebieskiego dworu Pani“, do której muzykę ich pani dorobiła. Na dożynkach dwie odbyły się zabawy — we dworze i na dworze. Częstowań było bez liku. Wszyscy ugoszczeni zachowają zapewne długo pamięć dnia tego. Kosztowało to dużo, bardzo dużo, ale wola Boga, a pani Wężykowa nie patrzy wtenczas na koszt. Dobra swoje zdobi w pomniki, statuy prawdziwie piękne, ducha obudzające. Te dwie ostatnie figury ojciec mój zamówił i do Toporowa, odesłał; ma więc i mój ojciec w tym razie cokolwiek

zasługi przed Bogiem. To też pani Wężykowa serdecznie nam za to wdzięczna. Każdy ksiądz dostał po 3 dukaty. Nieproszeni, przejeżdżający nawet obok, jechali do Toporowa, chcąc albo być świadkami podobnej uroczystości, albo wiedzeni chęcią dowiedzenia się, czy to było takiego. Syn Władysław był także obecny, spłakał się, zbeczał, ten co był niegdyś takim niedowiarkiem... Mówiliśmy także dużo o Lewińskich, krezusach podlaskich, o pani pułkownikowej Lewińskiej z Zakrza, Kaweczyńskiej z domu, która—polka rodem, w Niemczech wychowana, wszystko gani w Polsce i za to ma od pani Wężykowej <sup>1)</sup>).

8 *listopada*. Poprawiłem Zygmunta Sapiehę i tak Sapiehę jak Franczeszkę zaniósłem panu Szabrańskiemu, żeby wydrukował w Bibliotece całego Sapiehę i kawalek Franczeszki. Był ojciec ze mną. Pan główny redaktor żądanie moje obiecał wnieść na sesję.

13 *listopada*, niedziela. Rano byłem na kazaniu X. Mętlewicza u Pijarów. Ewangelia była o podobieństwie Królestwa niebieskiego ziarnu gorczycznemu. Kanonik, mówiąc o tem drobnem porównaniu Chrystusa, nauczał, że ziarno gorczyczne ma oznaczać i drobne cnoty i drobne występki, a ztąd okazał, że tylko drobne cnoty zapewniają nam niebo, jak drobne występki potępienie wieczne. Wszystko zatem na świecie zależy od tego,—mówił kaznodzieja,—co my drobnostkami zwiemy. Potem rozebrał niektóre z tych mniemanych drobnostek: zaniebdywanie paciera i obrzędów religijnych, trzpiotowanie się w kościołach, chęć niewinnej gawędy, co się w obmowę zamienia. Wszystko co mówił było ładne, wszystko było świętą prawdą. A jak to było wygłoszone, z jaką mocą, jakim cudownym organem! Rzecz to niezaprzeczone, że X. Mętlewicz nierównie lepszy kaznodzieja od sławionego Kotowskiego; efekt, jaki na słuchaczy swemi kazaniem wywiera, winien jest głównie deklamacyi, pięknej postawie i ładnemu organowi, choć i bez tego zresztą byłby już dobrym kaznodzieją. Rzecz się cała inaczej wydaje, kiedy z godnością wygłoszona; w pięknym wysłowieniu i deklamacyi słuchacz prawie niedostrzeże myśli obojętnej i starych. Jest to prawdziwa rozkosz słuchać takiego kaznodziei. A kto jeszcze łączy z deklamacją dar oryginalnych poglądów, ten jest wielkim mówcą. Tem to celuje nad Woroniczem Trynkowski, bo w Woroniczu jest zapal, wysłowienie piękne, wszędzie patryotyzm, ale przytem stare utyskiwania, i myśli nie świeże. Trynkowski posiada wszystko to samo co Woronicz, a przytem swadę zadziwiającą, dar mówienia nowo, oryginalnie <sup>2)</sup>).

17 *listopada*. Wracając z gimnazyum, spotkałem mojego poczciwego koleżkę, Cypryana Walewskiego. Po dwóch przeszło latach niewidzenia się było to pierwsze spotkanie się. Szczęśliwy! Wrócił wczoraj dopiero z podróży za granicę, w której widział Poznań, Drezno,

<sup>1)</sup> O pani Wężykowej pamiętnik kilkakrotnie i dużo wspomina. Przytoczyliśmy tylko jeden ustęp ze względu, że to matka i bratowa polskich pisarzy i że opis poświęcenia figur daje nam obraz nie tak dawnych jeszcze stosunków na Podlasiu i łączności dwu bratnich obrządków i narodowości.

<sup>2)</sup> Ludwik Trynkowski kan. wileński, wielki natchniony kaznodzieja, umarł na wygnaniu w r. 1849 w Irkucku. Do arcydzieł jego należała mowa na pogrzebie Jędrzeja Śniadeckiego.

Magdeburg, Lipsk, Hamburg. Z Hamburga morzem pojechał do Amsterdamu, był w Hadze, Antwerpii, Brukselli, prowincjach nadreńskich, Alzacyi, Szwajcaryi, zkad przez Wirtembergię i Bawaryę pojechał do Salcburga i Wiednia. Z Wiednia przez Kraków wrócił do Warszawy... Będę tu często pisał o moim Cypryanie.

*22 listopada.* Ojciec dostał dziś z Biblioteki dla swojej szkoły 70 kilka egzemplarzy dzieła: *Метода...<sup>1)</sup> обучения новымъ иностраннымъ языкамъ съ помощію Александра Глѣбова.* To dzieło, zakupione w ilości 5,000 egzemplarzy od autora, . . . . . polecone zostało do użycia w szkołach Królestwa. Po kilkaset egzemplarzy rozesłano do każdego gimnazjum. Wszędzie ma być zapisane w inwentarzu i udzielane uczniom, którzy po upływie roku książkę tę jako własność szkolną zwracać powinni. Pomysł cudacki. Kosztuje to wszystko koło 10,000 rubii, a co z tego będzie za pożytek? Trzeba dzieło to wziąć tylko w rękę, aby zrozumieć zaraz, że użyć go można tylko w edukacji prywatnej, kiedy jest tylko kilku uczniów. Ta metoda, zaprowadzona do szkół, będzie zupełnie bez celu.

(c. d. n.).

---

<sup>1)</sup> Wyraz nieczytelny.